Cena 50 groszy

TOR DRUGI

MIESIĘCZNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY SPOŁECZNY i NAUKOWY

Wrzesień 1936 r.

Rok I. Nr. 4

TOR DRUGI

MIESIĘCZNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY
SPOŁECZNY I NAUKOWY

KOMITET REDAKCYJNY: PRZEWODNICZĄCA: *red. Stefania Szadkowska*
CZŁONKOWIE: *mgr. Anna Skarbek-Sokołowska, prof. Adam Miller dyr. Teatru Kam. Kazimierz Brodzikowski, red. Wacław Rousseau.*

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: CZĘSTOCHOWA, DĄBKOWSKIEGO 20 M, 2. TELEF. 25-70. SKRZ. POCZT. 113
PRENUMERATA; ROCZNIE 5 ZŁ., PÓŁROCZNIE 2.70, KWARTALNIE 1.40, POJED. NUMER 50 GR.
WYDAWCA: *Bronisław Wacławski.* REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Wacław Rousseau*



Wojciech Stpiczyński

Wacław Rousseau.

Niezastąpiony.

Dnia 26 sierpnia radiostacje całej Polski podały smutną wiadomość:

— Wojciech Stpiczyński zmarł w Paryżu.

Jak przystało na żołnierza Marszałka, zmarł młodo na posterunku, tym razem na froncie pracy pokojowej.

Odszedł z szeregów demokratycznych jeden z największych i najzagorzalszych bojowników.

Odszedł ten, który jasno i śmiało wpajał w szerokie rzesze czytelników konieczność walki o Polskę jutra: o demokratyczną Polskę ludzi pracy.

Dawny więzień Hewelbergu, obrońca Lwowa i powstaniec śląski, był jednym z tych, którzy, w ciężkich chwilach przełomu, walczyli o godność i honor narodu, stojąc na czele rzeczników Piłsudskiego.

Zawsze wierny słowom Marszałka: „Jeśli ci ktoś powie, że głową muru nie przebijesz — nie wierz mu", przebijał mur partyjnictwa, sobkostwa i oportunizmu z niespotykaną cierpliwością i uporem, nawet w latach, gdy nastroje wokół były temu przeciwne.

Przez całe życie szedł drogą, na której końcu widział świetlaną wizję nowej Polski: w której praca jest probieżem wszelkiej wartości. Na drodze tej zastała go śmierć, okrywając żałobą wszystkich szczerych demokratów.

W sierpniu 1936 r.

Wacław Rousseau.

ŻOŁNIERZU

Mówią groby i krzyże cmentarne,
Poświsty wichrów i szumy mórz,
Ziemia skropiona krwią ofiarną,
O twojej sławie polski żołnierzu.

Gdzieś pośród ścian chat, lub pod lip cieniem,
Albo gdy światem owładnie mróz,
Ojce i matki we swym wspomnieniu
O twojej śmierci mówią żołnierzu.

Nie jedna łza z twej lubej oblicza,
Spływając perliste składa wieńce;
Boś bohaterem, chociaż wczoraj niczem...
— Ukochany chłopie—żołnierzu!

Kiedy podczas majowego święta
Sztandar czerwony niosą młodzieńce
Z piersi wypływa pokoju pieśń smętna,
Bo myślą o tobie robotniku—żołnierzu!

Niosłeś swe ciało ilekroć w świecie,
Za sprawę tej czy innej wolności,
Na barykadach, w polu wśród kwiecia,
Błyskały oręże,—tułaczu żołnierzu.

W St. Antoine i w puszcie węgierskiej
I we wszelkich od kraju odległościach
Swój trud składałeś „honornie", po męsku,
Zawsześ bohaterski żełnierzu.

Leżą twe kości kędy ludzki rodzaj
O równość, prawo i braterstwo walczył.
Strzegą ich westchnienia krzyżów przy drodze
I modlitwy.... poległy żołnierzu.

Duch twój wędrując wśród chat i kominów.
Słucha co mówią i o czem poeta wśnie marzy;
Rozpromieniony, że bracia i syny
Hołd mu oddają, myśląc... o żołnierzach.

Adam Miller

KASPROWICZ, POETA LUDU POLSKIEGO



Kasprowicz w zaraniu swej twórczości

Przyszłość będzie moja i moje
za grobem zwysięstwo!
Juliusz Słowacki.

W dniu 1 sierpnia bieżącego roku mija 10 lat od chwili zgonu jednego z największych poetów doby współczesnej Jana Kasprowicza. Nieśmiertelny poeta ludzkiego bólu, pełen rozmachu i tytanicznej potęgi uczucia Jan Kasprowicz jest w literaturze naszej żywiołową pełną wulkanicznej dynamiki mocą. Potęga Jego uczucia rozsadza najtwardsze bryły skamieniałych serc ludzkich, rozgrzewa wielkim płomieniem buntu tych, którzy nie utonęli w bagnie własnej małości i własnego egoizmu, porywa za sobą wszystkich, błądzących szerokimi szlakami myśli ludzkiej i poszukujących rozwiązania wielkich tajemnic Bytu.

Syn biednego wieśniaka z Kujaw— Kasprowicz przeżywa wszystkie wielkie nieszczęścia i małe smutki szarego, umęczonego znojną pracą człowieka:

„... a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpienionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął [bitwie,
a Złe urąga modlitwie!"

Świat jest w hymnie „Święty Boże" siedliskiem władzy szatana, który

„po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
Z garstką zwiezionych świeżo zbóż."

Od nieszczęść jednostek czy też nieszczęść rodzinnych przechodzi Kasprowicz do opiewania klęsk zbiorowych. Szatan bowiem, prowadząc swe dzieło zniszczenia,

„mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi
i przekleństwami znaczy swoją drogę"...

Jedną z najokropniejszych dantejskich obrazów klęsk zbiorowych jest niewola narodowa:

„A my ten naród potępiony,
krzyże ujàwszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie
trupiemi piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
po tym śmiertelnym wygonie"...

W krwawym bólu idzie Poeta na bezdroża,

„gdzie kurzem obsypana ślepa siadła Dola."

Wiedziony poczuciem krzywdy społecznej genialny Syn Chłopa wydobywa z głębi krwawiącego serca skargę, by ją rzucić przed Majestatem Najwyższego Gazdy:

„O Chryste Panie! O ty niepojęty!
Który przychylasz swoim dzieciom nieba!
Tu ciężkie snopy, a tam łan poczęty
Leży pokotem—bogactw pełna gleba,
A jednak ludzie, jak bedtki padają,
Głodem zmęczeni... Ty jednych, o Boże,
stroisz w „korale", a drudzy dźwigają
[Obroże..."

A kiedy talent poety osiąga szczyt rozwoju, przestaje się On wadzić z Wiekuistym Gazdą.

Ból Jego nie wybucha już płomieniem krwawego buntu, lecz płynie głębokim i spokojnym nurtem.

Szukając ideału, opartego na miłości chrześcijańskiej, znajduje go w świetlanej postaci św. Franciszka z Assyżu, który w pustelni leśnej zdala od lśniącego przepychem i złotem Rzymu wznosił się na najwyższe szczyty doskonałości moralnej. I nic dziwnego. Jakiż ideał mógł lepiej odpowiadać Poecie ubogich i głodnych? Jakiż ideał mógł więcej pociągać ku sobie Poetę cierpiących i pokrzywdzonych, jeśli nie Biedaczyna z Assyżu?

— — — — — — — — —

Osiągnąwszy równowagę duchową, zdobywa się Kasprowicz na szczere akcenty radości. Z odzyskaniem niepodległości radośnie wita Żołnierza Odrodzonej Rzeczypospolitej:

„Idziesz z piosenką na ustach,
Weselne czekają Cię gody,
Z twą Polską zawierasz dziś śluby,
Ty polski żołnierzu młody!"

Zdobywa się również na akcenty silnej woli, w której niezłomny i twórczy czyn się rodzi W „Rozkazie" wzywa do wiary w przyszłość i walki o silną Polskę:

„Idź! Czuwaj. Do czynu ciągłego
Młodzieńcze wyciągaj ramiona,
Ojczyzna sprawności twej wzywa,
Do Ciebie ma prawo li Ona!
Idź! Czuwaj! I zawsze miej wiarę,
Cokolwiekby losy zrządziły.
Jeśli Jej starczy twej siły!

— — — — — — — — — — —

Trudno zaiste, ogarnąć wzrokiem olbrzymie przestrzenie myśli Genjusza, z niedoli ludu zrodzonego!

Trudno podążyć na niebosiężne szczyty Jego uczuć trudno wzbić się na orle szlaki po których, Duch Poety szybuje! Aby to uczynić, trzeba się poświęcić długiej i mozolnej pracy duchowej, pracy nad udoskonaleniem własnego umysłu i serca.

— — — — — — — — —

Z wielkim wzuszeniem wspominam dzień 1 sierpnia 1933 r., kiedy to doczesne szczątki Jana Kasprowicza przewiózł Naród z dołu mogilnego na starym cmentarzysku w Zakopanem do mauzoleum na Harendzie.

Piękny pogodny dzień! Zdala bieli się szczyt Giewontu. Ponad morzem głów ludzkich płynie ciemna dębowa trumna na zwykłym chłopskim wozie, otoczonym przez włościan w sukmanach kujawskich. Przed trumną las różnobarwnych sztandarów, niespowitych w żałobę. Dwie orkiestry grają marsze. Za trumną niezliczone tłumy wielbicieli Jego talentu. Pomimo dźwięków żałobnych marsza, pomimo pieni rekwialnych księży, kroczących przed trumną, nie jest to pogrzeb. Jest to zwycięski pochód Wodza po wygranej bitwie. Jest to radosny i triumfalny marsz Gazdy, wracającego po długiej rozłące do swego domu. Z frontu mauzoleum, gdzie spocznie za chwilę ciało Poety, łopocą proporce sztandarów różnych organizacyj, mieniące się w górskim, południowym słońcu wszystkimi barwami tęczy. Na powitanie szemrze Dunajec swą tajemniczą pieśń, drzewa, poruszane wichrem, który ze szczytów Tatr przyleciał, śpiewają hymn nieśmiertelności twórczego Ducha, hymn triumfu Życia nad Śmiercią. Nie chciał w mogilnym spoczywać dole. Ciężką niemocą złożony prosił swych przyjaciół, by Jego zewłok człowieczy, życiem ofiarnym strudzony, na Harendę przenieśli. Za umiłowanie gór i ludu podhalańskiego orkiestra góralska na gęśliczkach mu zagrała. Ze szczytu mauzoleum rozpoczynają się przemówienia delegatów z całego kraju, przemówienia proste i szczere, pozbawione pozy i teatralnego patosu. Z tłumu ktoś zaszlochał. Jakaś kobieta zemdlała, nie mogąc opanować wzruszenia. Kołysze się trumna na ramionach przyjaciół Zmarłego i wniesiona przez nich w progi Mauzoleum tonie w powodzi żywego kwiecia Ostatniej woli Kasprowicza stało się zadość, z Jego trumny Naród Polski będzie czerpał w przyszłości swą siłę moralną, moc przetrwania i wiarę w lepsze jutro.

Anna Skarbek-Sokołowska.

BÓJ NAD WISŁĄ

Polsko! widział cię świat
w wojenne huragany
wplecioną jak w koła tortury!

Rzężeniem śmierci zmierzch
zapadał w twoje łany.
Tężały w grozę noce —
a twój świt ponury
liczył śród polnych grud
rozsiane strzępy ciał!...

Szły chyłkiem przez twe gaje
i płonące sioła,
w plugawym powiciu płacht,
zaraza, nędza i głód, —
by, co zostało żywe,
rozkładać i ścinać!

I szli synowie twoi,
wstyd otarłszy z czoła,
Szli jak bydlęce stada...
ślepi... ujarzmieni...
a opętani grozą...
a krwią rozjuszeni,
by się wzajemnie w polu
kłuć.. szarpać... wyrzynać!
Nie było już nad tobą,
wśród jęku i zgrzytu,
ni słońca... ni niebios błękitu,
ni jasnych uśmiechów kwiatu!

Byłaś czemś nakształt
piekielnej areny,
która miała okazać światu,
jak jest szatan w swych orgiach potworny...
jak drapieżne są ludzkie hieny!...
i jak pławią się we krwi
berła i trony...
i jak kona naród bezbronny!

A gdy przesiliło się grozą
to wściekłe, wojenne igrzysko
rzucono słowo: Wolność...
jak na urągowisko!

Gdy jęłaś w drętwe dłonie
tę wolność rzuconą,
pomyślał świat, że los
z ciebie umierającej
zadrwił!
Bo oto padły
na twe biedne łono
deptane tysiąckrotnie...
ledwie tchem dyszące —
padły mordercze, masy,
obłąkane stada —
i wołały nad tobą: — Zagłada!!

Runął na ciebie, Polsko,
cały Wschód niszczący,
przed którym drżą od wieków
mury Europy!
Rab wielomilionowy głowy
złorzeczący światu,
spragniony zemsty ślepej...
jak potwornie ślepej!
— Miałaś zapłacić, Polsko,
za zbrodnie caratu!
Ty sama ciemiężona!
ty — ofiara tronów!

Więc patrzał świat — we trwodze
o swe własne ciało —
na to, co w dziejach być miało
ostatnim aktem twej męczarni zgonu!

— A oto... wstałaś, Polsko!
porwałaś się nagle,
jak wicher, co uderza
w oceanu fale!

Potężna!... otrząsnęłaś
z piersi w stal okutej
owe mordercze masy,
nahaje i knuty!

Wstałaś — ramieniem Wodza,
ramionami synów
niesiona tak radośnie
w aureoli czynów,
jak gdyby ci nieznane
były srom, ni klęska,
ni głód... ni bratobójczych
rzezi krwawe mary.

Wstałaś, by rozwiać w słońcu
twe orle sztandary
i światu w twarz spojrzałaś —
mocna i zwycięska!

Dr. Stefan Kotarski

PANOWIE CZARNIECCY w CZĘSTOCHOWIE

Rycerstwo jagiellońskie, ten symbol tężyzny i mocy narodu, za rządów ostatniego Wazy przekształciło się w rozpolitykowaną bandę, która z karygodną obojętnością przyjmowała takie ciosy, jak Korsuń lub Pilawce. Jednak mimo rosnącej samowoli w wojsku, mimo kół rycerskich, które posiadały wiele cech wspólnych z późniejszymi komunistycznymi radami żołnierskimi — potężniejsze duchem indywidualności wodzów są jeszcze zdolne nietylko rozdmuchać patriotyzm, ale nawet wykrzesać bohaterstwo. Niestety nie był wodzem król Jan Kazimierz, nie przypominający swego rycerskiego brata Władysława, nie był wodzem żaden z hetmanów, których niesławne nazwiska utonąć powinny w pogardliwej niepamięci. Prawdziwym wodzem okazał się nie magnat, ale jeden z dziesięciu synów niezamożnego starosty żywieckiego, pan pułkownik Stefan z Czarńcy herbu Łodzia.

W momencie zalewu szwedzkiego miał Stefan Czarniecki niejedną wojaczkę za sobą i niejedną bliznę na ciele, niejeden rok służby o wolność i niejeden rok niewoli. Oficer cesarski z wojny trzydziestoletniej, zagończyk zaprawiony w harcach z Tatarami, wiele przeżył, wiele doznał upokorzeń od zawistnych rywali, zanim tragizm dziejowy nie narzucił mu zaszczytnej, ale cierniowej roli oswobodziciela Ojczyzny. Bez tytułów, bez blasku buławy, stał się z biegiem wypadków naczelnym dowódcą sił zbrojnych.

W czwartym kwartale 1655 r. wytargował on właśnie honorową kapitulację Krakowa, skąd wyrwał kilka tysięcy uzbrojonych wojaków, przyszłych najdzielniejszych jego partyzantów. Obie strony zobowiązały się przez 4 tygodnie unikać walk. Na szczęście niesłowność Szwedów pozwoliła Czarnieckiemu przerwać przymusową bezczynność. Jeszcze przed upływem miesięcznego terminu gen. Burchard Müller, oblegający wówczas małą twierdzę częstochowską, usiłował wciągnąć w zasadzkę byłych obrońców Krakowa. Skoro pułkownik Czarniecki uniknął dość szczęśliwie klęski, w obleganej Częstochowie zaczęto coraz silniej wierzyć w jego odsiecz. Zamknięta w fortecy garstka Polaków oczekiwała pomocy z niezbyt odległych Koziegłów, Będzina, Siewierza, Oświęcimia, Zatora lub Sławkowa, w tych miejscowościach bowiem przebywały oddziały czarnieczczyków. Prowincjał paulinów, ks. Bronowski usilne w tym kierunku rozpoczął starania które wszakże dały nikłe rezultaty. Wprawdzie Jan Kazimierz polecił Stefanowi Czarnieckiemu maszerować na pomoc, ale świeżo mianowany kasztelan kijowski nie miał zamiaru narażać swych trzech tysięcy lekkiej jazdy, oddawna niewidzącej żołdu na niepewną walkę z 10-tysięczną, obłowioną łupem i zaopatrzoną w artylerię armią Karola Gustawa. Że ten ostatni nie lekceważył zdolności militarnych przeciwnika, świadczy jego list. Przyzwyczajony do podłości Radziejowskich i Radziwiłłów, przechwalający się tem, że zwyciężył Polaków, nie widziawszy ich wcale, proponował król szwedzki polskiemu Scypionowi naczelne dowództwo nad pułkami, oblegającemi Jasną Górę za cenę przejścia pod jego sztandary. Pismo to dostało się do rąk Jana Kazimierza i przyczyniło wiele kłopotów adresatowi. Dopiero uroczyste zaręczenie wierności prawowitemu monarsze uchroniło kasztelana od niełaski królewskiej.

Tym czasem w fortecy broniła się nieliczna załoga, składająca się ze 160 regularnych żołnierzy, 70 zakonników i kilku rodzin szlacheckich. Wśród nich znajdowała się familia Piotra Czarnieckiego, dziedzica pobliskich Rząsaw. Ten późniejszy marszałek konfederacji gołąbskiej i pisarz polny koronny był bezwątpienia krewnym wielkiego Stefana. Zbyt mało posiadamy źródeł, aby ustalić stopień pokrewieństwa. Wszakże przypuszczenie, że nie był to najstarszy brat, lecz bratanek Stefana wydaje się nam bliższym prawdy. Ów Piotr Czarniecki w czasie oblężenia twierdzy odegrał dość znaczną, kto wie, czy nie kierowniczą rolę. O jego znajomości sztuki militarnej najlepiej świadczy umiejętna obrona najbardziej zagrożonych odcinków, zwłaszcza zaś umocnienie najsłabszego bastionu zachodniego. Przedewszystkiem dwa momenty przekazały historii pana piotrowe imię. Pierwszy z nich to listopadowa wycieczka tajnym przejściem za wały obronne. Podziemne lochy bezwątpienia istniały w twierdzy. Ja sam przypominam sobie, że w czasie wojny światowej próbowałem pewnego razu z kolegami gimnazjalnymi zwiedzić jedno z tych przejść, którego otwór widniał między dzisiejszymi krużgankami a pomnikiem Kordeckiego. Zamiast jednak dojść do olsztyńskiego zamku, dokąd rzekomo te lochy prowadziły, napotkaliśmy na tak wielkie ilości gruzów, że zmuszeni byliśmy wrócić, unosząc ze sobą jako jedyną zdobycz tej wyprawy pistolet

z epoki powstania styczniowego. Otóż jednym z takich ukrytych korytarzy przedostał się Piotr Czarniecki z 60 ochotnikami do obozu szwedzkiego i napadł na tyły straży przednich. Rezultatem nocnego starcia były stosunkowo duże straty po stronie oblegających: dwa zagwożdżone działa, a między zabitymi padł tej nocy komendant artylerii Alman Fossis, Włoch, zaś gubernator zamku krzepickiego, Horn, został ciężko ranny i nie przeżył sześciotygodniowego oblężenia. Polacy wyszli cało z niebezpieczeństwa, tracąc jednego zabitego nazwiskiem Janicz. Po raz wtóry zasłużył się pan Piotr podczas szturmu generalnego, gdy Szwedzi rękoma okolicznych chłopów usypali szańce i zatoczyli wieżę oblężniczą. On to, kierując ogniem armatek jasnogórskich, zdołał odeprzeć jeden z gwałtowniejszych ataków nieprzyjacielskich. Nowy rok 1656 mógł pan Piotr powitać w rodzinnych Rząsawach, gdyż szlachetny upór oblężonych nie oddał forteczki w obce ręce. Tym sposobem pozostały tylko trzy punkty nietknięte stopą Szweda: Gdańsk, Lwów i Częstochowa.

Gorąco oczekiwany przez obrońców twierdzy Stefan Czarniecki zjawił się dopiero w rok po zwinięciu oblężenia. W końcu grudnia 1656 r. mianowicie przywiódł tu królową Marię Ludwikę, która w tym miejscu mogła się czuć całkiem bezpieczną. W lutym 1657 r. raz jeszcze mury częstochowskie ujrzały pana Stefana. Tym razem jednak oczy wszystkich nie na niego były skierowane: wraz z nim bowiem przybył z Gdańska król Jan Kazimierz, a senatorowie-purpuraci byli świadkami uroczystego połączenia dostojnego małżeństwa. Bo na tym świecie tytuł, blichtr i trzos skupiają na siebie uwagę i szacunek, a prawdziwą zasługę spostrzegamy dopiero w perspektywie wieków!

Stefania Szadkowska.

SFINKS

Mówicie, że kobieta jest sfinksem, zagadką,
Kapryśnych zachceń panią, szaloną i zmienną,
że jest grzechu ludzkiego pierworodną matką,
przyczyną zła wszystkiego, pożądań gehenną.

Razi was dziwna płytkość—jej dziecinnej duszy
egoistyczna oschłość jej zimnego serca...
Nikt nie wie, ile smutków żar uczucia głuszy,
ile zawodów co dnia kwiat wiary uśmierca...

Nikt nie wie, że być umie, jak pies korny-wierna,
że na klęczkach przynosi swojej duszy piękno,
korząc się przed swym panem, władcą i tyranem,

aż do chwili, gdy złudy najwytrwalsze pękną,
gdy przejdą mocne nogi po sercu rozdrganem,
a w duszy się ostanie nienawiść bezmierna...

Stefania Szadkowska.

Przepaść pojęć

Mężczyzna miłość bierze, jak kwiat, co uwiędnie
zachwyca się barwami i odurza wonią,
a kiedy się nasyci — kwiat depcze bezwzględnie
i delikatne płatki gniecie twardą dłonią.

Kobieta miłość czyni życiodajną siłą,
oazą w walce życia, za pięknem tęsknotą,
zmienność męska jest dla niej zagadką zawiłą
ślepa miłość najwyższą potęgą i cnotą...

Mężczyzna, jak ciekawej książeczki obrazki,
przerzuca barwne kartki w porządaniu chorem,
wiecznie szuka nowości z maniaka uporem...

Kobieta z uczuć wznosi złocistą świątynię,
dla miłości istnieje, dla miłości ginie...
Świat kobiecie śle—wzgardę, mężczyźnie—oklaski.

Stefania Szadkowska.

SAMODZIELNA KOBIETA

Kobieta, przebywająca długie wieki w istnej niewoli męskiej, ocknęła się pewnego dnia z martwoty i rzekła: „Jestem", a słowo to zawierało w sobie całe szeregi doznawanych krzywd, dźwięczało jękiem cierpliwie i długo dźwiganych kajdan, wołało wielkim głosem o prawa dla człowieka. Atoli zaraz na wstępie mężczyzna w odpowiedzi roześmiał się sarkastycznie i w kilku zimnych słowach wykazał całą niedorzeczność takiego żądania: kobieta nie była człowiekiem, bo nie umiała zdobywać sobie samodzielnie bytu. Z troskliwych ramion rodziców przechodziła w chlebodajne objęcia mężowskie, a opiekunowie ci stanowili jedyną jednostkę przyjmującą na siebie wszelkie konsekwencje, wypływające z tej per-procury wydanej, jakoby przez Pana Boga. Oczywiście tranzakcja ta nie była przeprowadzoną za darmo — kobieta wzamian za to była tylko kobietą — czemś pośredniem między bóstwem a służebnicą, geniuszem a pół-idiotą, czemś godnem jednocześnie i uwielbienia i pogardy. Ale nie napróżno wyrobiła sobie niewiasta jeszcze w epoce Raju opinię przyjaciółki węża. Chytra jak on, zrozumiała natychmiast, że należy uczynić zwrot w tył i zanim mężczyzna zorientował się w sytuacji, rozpoczęła walkę nie o prawa, a o pracę, której mozoły miały jej w przyszłości przynieść jako prosty rezultat owe upragnione równouprawnienie.

Niema na świecie cierpliwszej i więcej uzdolnionej istoty, jak kobieta. Cierpliwość jej ma w sobie wytrzymałość maleńkiej mrówki, która z niczem niezwalczoną wytrwałością dąży do swego celu, zdolność jej polega na wspaniałej umiejętności przystosowywania się do warunków, gdyż każda niewiasta jest genialną aktorką. Dlatego to kobiety w szybkim stosunkowo czasie zdobyły sobie najrozmaitsze placówki, stanowiąc groźną konkurencję dla legionu pracujących mężczyzn. Zacietrzewione w walce, rozlubowane w szczegółach, a nie umiejące syntezować, nie przewidziały jednego — że kręciły bicz na własną skórę. Konkurując zapamiętale z mężczyzną, nie przebierając w środkach walki, podcinając nogi opiekunom własnym, odebrały możność dostatecznego zarobkowania żywicielom swych własnych rodzin.

Kobiecie sprzyjał los — przyszła straszliwa, długoletnia wojna, zabierając na inny plac boju, przeciwnika. Niewiasta roztoczyła teraz berło panowania, królując w niedostępnych przedtem urzędach, zajmując tak długo marzone placówki, zagarniając w swoje prawie wyłączne posiadanie wszystko.

Życzeniu jej stało się zadość. Jednak konsekwencje nie kazały długo czekać na siebie. — Zwalczany mężczyzna pozostał na dominujących stanowiskach, z tych ostatnich nie dając się wyprzeć i dlatego mimo wszystko pozostał właściwym panem sytuacji, która zmieniła się tylko o tyle, że gdy dawniej legion kobiet zależał od legionu mężczyzn, później całe szeregi kobiece zależały od jednego tylko mężczyzny. Ów mężczyzna— przez długie wieki wyszkolony organizator — zwrócił ostrze szpady kobiecej przeciw samej kobiecie.

Natomiast armia mężczyzn, wracając po wojnie na swoje stanowisko i wywalczywszy je z trudem, znajdowała całkiem odmienne warunki pracy — konkurencja była tak potężną pod najrozmaitszymi względami, iż nie można było marzyć o całkowitym wyparciu kobiet z zajętych przez nie pozycyj.

Mężczyzna uległ na razie, ale przyszedł mu wkrótce na odsiecz najlepszy lekarz wszystkich przełomów—czas.

Społeczeństwo stoi dziś przed groźnym objawem: rodzina w całym tego słowa znaczeniu prawie przestaje egzystować, ognisko domowe zanika, byt dzieci, których rodzice oboje pracują, nie tylko nie uzyskał lepszych podstaw, ale wprost przeciwnie chwieje się; moralność kobiet, które są częstokroć w pracy wyzyskane we wszelki sposób, upada. Mężczyzna — ojciec rodziny, nie jest dziś w stanie na nią zarobić, bo płaca jego dzięki konkurencji została obniżoną w znacznym stopniu.

Jeśli idzie o warunki materialne bytu—kobieta uzyskała stosunkowo dla swej rodziny — bardzo nie wiele: jeśli idzie o zdobycie praw— są one dotychczas dla kobiety niesłychanie surowe.

Ciężkie warunki ekonomiczne, w jakich się znajduje Polska, fatalny zastój przemysłowy—wywołany klęską bezrobocia sprawia, że niema dziś prawie rodziny, gdzieby wszyscy mężczyźni pracowali — jest to cała armia wałęsająca się z kąta w kąt, nie zdolna do pracy domowej, która zaniechana przez kobietę leży odłogiem, wołając o ręce; armia—niezdolna do drobiazgowego wychowywania dzieci, które zaniedbane, w gruncie rzeczy bezdomne, wychowywują się same. Jeśli dodać, że wszak nie wszystkie kobiety umieją pracować lub znajdują pracę, to, uprzytomnimy sobie, że z jednej strony całe rodziny są w skraj-

nej nędzy, z drugiej egzystują takie, w których pracuje kilka osób, żyjąc dzięki temu ponad skromną urzędniczą normę. Zdarza się często, iż, gdy z jednej strony ojciec drobnych kilkorga dzieci, mąż chorej żony—szuka dosłownie latami najskromniejszej posady i powoli przyucza się być pasożytem — z drugiej młoda panna, mająca wcale niezłą posadkę, wychodzi doskonale pod względem materialnym za mąż, unika macierzyństwa, aby w dalszym ciągu utrzymać swe stanowisko i rozchoduje na luksusowe wydatki zarobione przez siebie pieniądze, zatruwając mężowi życie swą samodzielnością.

Jakże mało niestety posiadamy kobiet, które pracują na swoją egzystencję. A wszakże praca kobiety, która rzuca na pastwę losu dom i rodzinę, to swoje najszczytniejsze posłannictwo, winna mieć miejsce tylko wtedy, gdy niewiastę zmusza do tego smutna ekonomiczna konieczność. gdy mąż ma minimalną pensję, która nie może wystarczyć na utrzymanie rodziny, lub też chory, niezdolny do pracy — nie jest w stanie walczyć o egzystencję nawet własną.

Ċzy nie należałoby, aby nasze urzędy i instytucje przesiały przez gęste sito te wszystkie kobiety, które dla prowadzenia życia na luksusowej stopie, zajmują miejsce tysiąca opiekunów wynędzniałych rodzin?

* * *

Zdawałoby się, że pragnę,, aby kobieta wróciła znowu do ogniska domowego, do pieluch i garnków, a w antraktach wyczyniała bezterminowe i bezużyteczne robótki...

Wprost przeciwnie. Uznaję istotnie, że kobieta, wtedy tylko będzie mogła żądać dla siebie praw, gdy samodzielnie na kawałek chleba zarobi; uznaję, że zdała ona egzamin ze swej rzadkiej wytrwałośçi i uzdolnień, ale pragnę, aby zajęła ***odpowiednią dla siebie placówkę***, która będzie jej własną, bezkonkurencyjną i niekolidującą z jej obowiązkami.

Właśnie dlatego, że mężczyzna nie mogąc być urzędnikiem, nie będzie umiał być jednocześnie świetną gospodynią i zarazem doskonałą szwaczką, kołdrzarką, gorseciarką, modystką, kilimczarką, malarką itd. itd., że skala uzdolnień i akomodacji męskiej jest znacznie niższą, właśnie dla tego sądzę, że daleko pożyteczniej będzie dla kobiety opuścić placówki biurowe.

Bo wszak pierwszym warunkiem do świetnego rozwoju społeczeństw — jest utylitaryzm. Oczywiście nie mówię tu o wybitnych jednostkach kobiecych, których już tyle chlubnie zapisało swe nazwiska na kartach historii pracy kobiecej, o jednostkach, których talenty lub uzdolnienia wybitne, pozwalają zająć kobiecie pewne stanowiska, na których pracują z prawdziwym pożytkiem dla społeczeństwa, dominując niejednokrotnie nad mężczyzną. Są to wyjątki — w artykule niniejszym poruszyć pragnę sprawę mas kobiecych, a znajduję, że rzesze kobiet biurowych stanowią tylko miernoty — są to istoty zgóry skazane na niższy stopień urzędniczy, nie mogą mieć prawie żadnych nadziei na wybicie się ponad szary tłum, podczas, gdy jak w każdym człowieku, tak i w nich drzemią niezawodnie ukryte zdolności które można spożytkować z doskonałym rezultatem osobistym i społecznym.

Należy, aby kobiety odciążyły biura, a rzuciły się gremialnie do tysiąca niewyzyskanych u nas w Polsce zawodów.

W Częstochowie jak i w całej Polsce, wypuściły szkoły żeńskie całe szeregi maturzystek— należy, aby ta armia kobieca nie poszła po drodze najmniejszego oporu, należy umieć urządzić sobie życie jaknajlepiej, nie podkopując jednak w tym celu egzystencji drugich.

Utarło się u nas prawem kaduka mniemanie, że jedyną wartość dla kobiety ma posada biurowa—jest to marzenie wszystkich abiturientek, które uważają biuro za złotodajny róg obfitości. Nie odstrasza tu dziewcząt ani marne uposażenie, ani nieskończony szereg przykrości, które im gotują przyprowadzani do nędzy mężczyźni, ani brak jakiejkolwiek istotnej kariery.

Legiony maturzystek radeby przejść przez próg gimazjalny we wnętrze urzędów, sądząc, iż jest to jedyne godne samodzielnej niewiasty źródło zarobkowania.

A wszakże jest cała masa zawodów, które pozwalają kobiecie jednocześnie opiekować się domem, rodziną i zarobkować. Są to specjalności, rękodzielnicze i artystyczne, w których tylko kobieta będzie celować, gdyż wymagają one subtelnych rąk, wrodzonego artyzmu i niewieściej cierpliwości. Zdobywając takie placówki — zdobędziemy dopiero prawdziwą samodzielność.

Niezależne od szefa, który częstokroć wymaga opłacanych „procentów“ od posady, nie zmuszone do niszczenia drogich sukien w dniu codziennym, będziemy mogły spieniężać daleko intratniej swą pracę i jednocześnie obecność nasza w domu zabezpieczy nasze ogniska rodzinne od zagłady.

Nie czekajmy, aż do naszych domów zakołacze skrajna nędza, nie łudźmy się, że pomagamy mężczyźnie utrzymać rodzinę, gdy dziś dwie osoby muszą pracować na ten sam ekwiwalent, jaki poprzednio zdobywał sam mężczyzna. Pozostawmy naszym ojcom, mężom i braciom konieczne dla nich stanowiska, zwiększając w ten sposób ich podaż i płacę.

Najwyższy już czas, aby kobieta zrozumiała interes nie tylko swój własny, ale i swej rodziny, a tym jest: odciążenie wszelkich biur i zakładanie samodzielnych wytwórczych placówek.

Wacław Rousseau.

DROGA

(fragment)

Zszedłem z asfaltowego gościńca,
na którym twardą prawdą
straszą mnie mary: ludzkości męczennice...
zszedłem, choć wiem, że gdzie indziej mnie znajdą
szare, choć krwiste, cienie pracy najemnej;
— Zszedłem w noc ciemną.
Nade mną mdły dezerter z minaretu,
wokół rojem zimnych brylantów otoczon.
W kir mroku wwiercam oczy:
Tam równie, lasy i gór grzbiety,
a wśród nich paście bezdenne.
Tam wiedzie ma droga!
Jestem w gromadzie, choć nikt nie chce iść ze mną.
Sam jeden, choć z ludzi wlokę się gromadą.
Porzuciłem swą lubą, przyjaciół i dom,
Gdzieś we wspomnieniu ostała jeszcze pieśń o koniu i ostrogach
I o rycerskim życia pasowaniu.
Dochodzą mnie gwary—ja ich zrozumieć nie mogę—
Nastała cisza stugwarnemi mówi głosy,
Gdzieś w mózgu pod włosem
czuję serce—puchnie mi obolała głowa —
Słyszę od pól idące wołania:
— Tam twoja droga! —
Przede mną noc ciemna
a ja ją przejść muszę.

Więc idę budzić życie senne,
Dzwonem miłości potrząsnąć
I napełnić nim ojczyźniane głusze.
Błotnistą polską drogą, niosą swe myśli.
Mijam wsie, osady i miasta,
W chatach strudzony orką chłop śni,
że szczęśliwa jest jego niewiasta.
Do czerepów czaszki wdzieram się robotnika,
W mózg inteligenta wsiewam swoje ziarna,
Oczy im dłonią dotykam
I idę w noc czarną.
Idę, nie, pędzę, bo mam mało czasu,
A cel podróży daleki.
Powstają za mną świeżo siane lasy,
I tamy rosną na rzekach,
Tysiące kominów dymem się ustraja,
Bezduszne asfalty ludźmi obrastają,
Błota i bagna kwitną runią zboża,
A w głowach oświata zapala się zorzą...
— — — — — — — — — — — — — — —
Ja idę w noc mroczną...
A za mną wspomnieniem kroczą
Dni szarugi...
Przede mną droga długa.
Mimo trudy, znoje i ludzkie złości,
Dojdę do kresu, — kędy Sprawiedliwość.
Lecz przez noc ciemną przejść muszę.

Zygmunt Józefowicz.

Rumak szlachetnej krwi

Kiedy zaprzężesz go do pługa —
Szarpnie się, dęba stanie ci:
Nie pójdzie, choćbyć bił go długo —
Rumak szlachetnej krwi.
Kiedy zaprzężesz go do woza
Wierzgnie, aż trysną z bruku skry;
Nie pójdzie: próżno bić go łozą —
Rumak szlachetnej krwi.
Lecz gdy nań wskoczysz, gdy po karku
Klaśniesz: czy czujesz, jak on drży?
W świat cię poniesie biegiem szparkim —
Rumak szlachetnej krwi.

Zygmunt Józefowicz.

Czy zmiana głowy?

Gdy byłeś dygnitarzem, stałeś na świeczniku,
Jeżeliś jednem słówkiem do ludzi zagadał,
Było pytań, dociekań, domysłów bez liku,
Każdy słówko rozważał, głębie jego badał.
Ledwie zdanie wyrzekłeś — sto heroldów leci,
Roznosi je po kraju, krzycząc w głośnym chórze;
Napamięć go się uczą w szkole wszystkie dzieci,
Złotemi je głoskami żłobią na marmurze.
Przestałeś być, czem byłeś — piszesz artykuły;
Lud, co dawniej na złoto twoje słowa cenił,
Dzisiaj równa twe pisma do zwykłej bibuły:
Czy, urząd opuszczając, ktoś ci głowę zmienił?

Adrzej Jasmund.

MATURA

Panie dyrektorze, na plac pójdę robić jako robotnik,—do łopaty...

— Hm! Nie mogę... nie mogę pana wegnać w tę hołotę... a zresztą, ja też mam sumienie i nie mogę tego zrobić... Oniby panu nie dali pracować, nie dali żyć... Człowiek z maturą w kieszeni i łopatą w garści! — nie, nie podoba mi się takie zestawienie. Niech pan zostawi swój adres. Jak będzie jakie wolne miejsce, to się pana zawiadomi. Dowidzenia.—

— Dowidzenia p. dyrektorowi. Polecam się łaskawej pamięci... Dowidzenia.

Ciężkie, grubo obite drzwi zaledwie stuknęły. Woźnego w korytarzu nie było. Szybko wziął czapkę i popędził po schodach nadół.

Wyrwać się, wyrwać się jak najprędzej z tych podłych, przeklętych murów, huczących maszynami, kopcących dymem, bijących ludzkimi sercami, tętniących ludzką krwią...

— Ulica... ulica, mój dom bez dachu... Ulica mnie przytuli.

Śmiało się słońce radośnie, odpowiadały mu beztroskie, biało kwitnące drzewa, z któregoś okna głośnik charczał wesołą piosenkę... A on szedł smutny... głowę opuścił na zapadłe piersi... szedł przed siebie bez celu...

— Żeby nie ta przeklęta matura, tobym robił... Po co ja się uczyłem?... Aby skonać?... z głodu zdychać?...

Do tego matury nie potrzeba! Psiakrew—już rok mija, a nie zarobiłem, aby do syta poźreć. Na poczcie—nic, w skarbowości—nic, na kolei—nic, w fabrykach—też nic... Może na cmentarzu jest wolne miejsce?—

— — — — — — — — — — —

Mijał miesiąc za miesiącem... Na podanie nikt nie odpowiadał...

— — — — — — — — — — —

„To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy“—śpiewał na podwórzu przy akompaniamencie kolegi—harmonisty... temu było lepiej... Zawsze to muzyka, a muzyka popłaca...

W karnawale grał na balach i sporo forsy zgarnął...

Ktoś otworzył okno i pięciogroszówka zabawnie podskoczyła na nierównym bruku podwórka... Niski ukłon dziękczynny...

5 groszy...

— Ażeby tak można sprzedać tę cholerną maturę!?...

— Za pięć złotych...

— Pracowałem na nią 8 lat w pocie i trudzie...

— Pięć złotych... —

Uśmiechnął się...

„Spojrzyj czule dziś na mnie, ostatni raz“...

Tu na, podwórkach i plecach jest moja polibuda, a zdolności matematyczne przydają się do zbierania dwu—pięciogroszówek.

Matura do sprzedania!!!

— — — — — — — — — — —

W wytwornym gabinecie, w wygodnym, głębokim fotelu przy biurku, w kłębach błękitnego wonnego dymu hawajskich cygar, siedział oparty pan z błyszczącym od tłuszczu karkiem i pierścieniami na rękach... Zatopiony był w myślach... Liczył, obmyślał, kombinował...

— Cholera! Taki głupi papier... Ale co też im do głowy przyszło, że na prezesa powinienem mieć przynajmniej maturę... Czekajcie! nie ustąpię!... Pogadam z dyrektorem, może tam gdzie w kancelarji wyszuka jakiś stary, niepotrzebny, bezwartościowy papier urzędowy... Możnaby przerobić... Dałbym 100, 500 a nawet 1000 zł. Awans... podwyżka... 2000 zł. pan prezes... — uśmiechnął się.

— Jak tutaj nie da się to zrobić, to mi z Ameryki przyślą „nietylko maturę, ale i dyplon inżynierski... Wszystko da się zrobić... Ja mam pieniądze...—z zadowoleniem poklepał się po wypełnionej kieszeni.

— — — — — — — — — — —

Z sieni wyszedł elegancko ubrany student. Spojrzał na śpiewaka—nędzarza i przeszedł oboobojętnie...

d. c. n.

Anna Skarbek-Sokołowska.

Z cyklu: Haszysze.

Czarny kowal i biała królewna

Rumak, co królewnę niósł
na różowe gaje,
u podkowy zgubił gwóźdź
i na drodze staje.
Kędyś.. w jarze huczy grom...
i rwą się zawieje...
— Jakże wracać w ojca dom,
kiedy koń kuleje?

Do czarnej kuźni biegnie
królewna złotowłosa.

Kowal, rosły jak olbrzymy,
u kowadła stoi.
Ciemną twarz oblokły dymy,
jako łuska zbroi.
W ręku młot... Ha! blask i huk!
Bije iskier rózga...
— Zda się, że to zemsty bóg
krwią czerwoną bluzga!

Błękitne oczy szerzy
królewna złotowłosa.

— O kowalu! ileż łun
wkoło ciebie błyska!
Ileż gra ognistych strun...
Ile szału tryska!

Jestże płomień twojej kuźni
podziemnym wulkanem?
Jestżeś bogiem? władasz burzą
i krwi oceanem?
Hej królewno! rzekłeś... tak!
Płomień mojej kuźni,
to podziemny żywioł... znak,
co monarchom bluźni!

Trzy topory w kuźni mej
cień głęboki chowa,
Pod największym padnie—hej!
twego ojca głowa!

Pod tym drugim legnie mur
królewskiego grodu,
nim zapieje ranny kur
pośród róż ogrodu.

A pod trzecim biesiad stół
winami zroszony,
Czwarty topór będę kuł
na kościelne dzwony!

Wiruje wkrąg... wiruje
czerwonych iskier kosa!
Bladością grozy blednie
królewna złotowłosa.

— O kowalu! unieś młot!
uderz w piersi moje!
Włosów mych jedwabny splot
ujmie stopy twoje.
I nasycisz zemsty głód,
nim się noc uczyni...
Nim królewski padnie gród
i wieża świątyni.

Gnie się pod młot królewna,
jako pod deszcz ołowiu.
Z dziewiczej piersi zdziera
szatę ze złotogłowiu.

— O kowalu...! — Kowal drgnął...
Zębem w ząb zazgrzytał.
Purpurowych iskier kłąb
jego włosy chwytą.
Czarne oczy pełne burz
patrzą w twarz dziewczęcą...
Na jej ustach pąki róż...
W rzęsach gwiazdy świecą.

— Jakżeś piękna...! — szeptał... drżał,
widząc pierś jej białą..
A już krwią dymiący szał
objął kuźnię całą!

Z czerwonych cegieł kuźni
czerwone pełzną mary...

— O kowalu! unieś młot!
Zemsta się poczyna!
Echo więzień... jam i błot...
wzywa cię!.. zaklina!

Białą pierś królewnej wzdłuż
pereł sznur obleka.
Każda perła z głębi mórz,
to życie człowieka! —

Z czerwonych cegieł kuźni
czerwone pełzną mary...

— O kowalu! czemu łza
błyska pod źrenicą?
Zwali trony ręka ta,
co drży przed dziewicą?
Zwali dęby, komu splot
róż narzuca żale...? —
Kowal spłonął... Ujął młot
i uderzył w szale!

— — — — — — — — —

Nie widziano nigdy już,
choć pytali różni —
ni królewnej w wieńcu róż
ni mocarza kuźni.

Tylko — gdy królewski gród
legł pod toporami —
każdej nocy dziwny cud
dział się nad gruzami...
Każdej nocy w strzępach szat
szły dwie mary chyże...
Jedna jak liljowy kwiat.
Druga jako krzyże.

Jedna — dusza to królewnej,
w bieli śnieżnej szaty,
szuka, mknąc jak obłok zwiewny,
dziewiczej komnaty.
Druga—duch to oszalały
kowala olbrzyma!
Biegnie... ściga cień jej biały
i chłonie oczyma.

Jak dwa ptaki, które gniazd
szukają na trzcinach,
w rozpylonem świetle gwiazd
błądzą po ruinach.
On ją ściga... nie doścignie...
Darmo pręży ręce...
Jego twarz widmowa stygnie
w beznadziejnej męce!

Mieczysław Hoszlikowicz.

(nasz czytelnik z Rakowa)

Bezkresna wędrówka

Wysłałem gońca mojego w świat,
By szukał dawnych, minionych lat.

Cyklista szosą jak djabeł mknie!
— Hej! dobry panie! gdzie jedziesz? gdzie?

— Ach szary człeku! mnie czasu brak...
— Szukasz twych latek minionych? — Tak!

— Mknęły polanką, przez las i wsie...
Biegnij truchcikiem! dogonisz je. —

Na polu rolnik swą ziemię orze:
— Hej! dobry panie! szczęść tobie Boże!

Może widziałeś cienie mych lat?
Pomknęły tędy w daleki świat. —

— Nie znajdziesz ty ich! Szły w stronę mórz.
Zabrał je wicher... Nie wrócą już! —

Władysław Kośmiński.

Sfinks życia

Życie, tyś Sfinksem! ni żadne cię księgi
Mędrców nie zgłębią... Ty swoje oblicze
Gdyby w zasłony kryjesz tajemnicze...

. . . .

Ty czasem jesteś jak lawina śniegu
Co pędzi w przepaść z indyjskich olbrzymów
Gdy cię twój Anioł nie zatrzyma w biegu,
Staczasz się w otchłań obłędnej rozpaczy,
By strzaskać czoło o kamienne łoże
Wrażego losu...

Lecz — gdy moc ducha w tobie weźmie górę,
Pokus zdradziecką potarga pętlicę,
Jak słońce, ostrzem co przeszywa chmurę
Nawet przez piekieł przejdziesz błyskawice,
Wielki, — w obliczu Boga... triumfator!...

Stanisław Szymański.

„WYCHOWANIE MŁODEGO POKOLENIA".

Refleksje młodego nauczyciela i studenta pedagogiki.

Z pośród zagadnień aktualnych w dobie dzisiejszej, z pośród koncepcyj nad przygotowaniem lepszego jutra, ugruntowania moralności, mocarstwowości Ojczyzny i uszlachetnieniem człowieka, na pierwsze miejsce bezapelacyjnie wysuwa się dziś ostro krytykowane i smagane biczem opinii laików — wychowanie.

Ciągłe utyskiwania na młodzież, na młode pokolenie, obawy „starszych" i „starych" o to, że nie mają komu oddać w ręce wielkiego swojego dzieła, Państwa, są tak krótkowzroczne i niekonsekwentne, że lepiej przemilczeć to socjologiczne zagadnienie.

Młodzi są tacy, jakich sobie ich starsze pokolenie wychowało. Młodzież dzisiejsza — to zwierciadlany obraz starego pokolenia. Przyszła Polska — to nikt inny jeno ci „bezideowcy", którzy wzrośli pod okiem doświadczonych zdawałoby się... filantropów.

Pozwólcie, troskliwi koryfeusze martwej pedagogii, wychowankom swoim odetchnąć ich własną atmosferą, pełną zapału i polotu wzniosłych i głębokich zamierzeń, a nie starą zapleśniałą kulturą zewnętrzną. Młodzi ją negować będą zawsze; — to prawo natury; — im potrzeba czegoś więcej niźli pogadanek przez radio, osiedli, wycieczek, burs... im trza serca, trzeźwego rozsądku i bezpośredniości z wychowawcami. Im nie trza salonów-osiedli, pięknych słów i zapewnień jeno o trosce nad przyszłością.

Młodość to potok, marsz, życie...

„Z żywymi trzeba naprzód iść
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę". *(Asnyk)*

Dziwne, zaiste dziwne jest, że z pośród mnóstwa zagadnień pedagogicznych, że w samym ogniu walki o ideał pedagogiczny, o cel wychowania, na pierwsze miejsce wysuwają właśnie, nawet zawodowi wychowawcy, oczywiście starszej daty, przedewszystkiem środki... do czego nie wiem — chyba do tresury jeno lub organizacji wychowania—bo do istoty samego wychowania napewno nie.

Nie rozumiem konsekwencji tych, co obok trosk o pąki i kwiaty przyszłego człowieka — tuż stawiają jako dewizę motto:

„Póty będą wojny, póki będą młodzi".
François Mouriac.

Boicie się i wojny i młodych.

I wy chcecie walcząc z młodzieżą, walcząc z prawem natury, kształcić i prowadzić do doskonałości takiej, jaką wy posiadacie?

Bez walki nie ma postępu, bez postępu ideałów.

Wy ideały chciecie zwalczać —

Nie tędy droga.

Młodzież to widzi, widzi i mimo waszych potężnych wysiłków idzie i pójdzie drogą własną, drugim torem; drogą która negując waszą parkietową kulturę idącą śladami Tołstoja i innych, wytworzy swoją własną, zdobytą bezpośrddniością duszy i odpowiadającą potrzebie jutra.

Jesteście doskonali. Zgoda.

Wasi niewdzięczni wychowankowie, — takimi jak wy chcecie nie będą — bo chcą was wyścignąć, chcą być lepsi od was, a to jest ich i tylko ich zdobycz, z czego są i będą dumni. Wasze wysiłki, by nie dać się przez młodych wyścignąć i tak pójdą na marne. Młodość, polot duszy, zapał i energja zwyciężą — muszą zwyciężyć, bo mają cel przed sobą — lepsze jutro.

Nieprawdą jest to, że młodzi są bez ideałów.

Zazdrośni jednak o nie, obstawieni ze wszech stron przez autorytety wczorajszego dnia, walką o byt, o kawałek chleba i dach nad głową, muszą jeno je nosić, jak złodziej skradzioną wartość, pod pazuchą. Muszą, — by im ich nie wyrwano. —

Starsi, czy starzy, głusi są na szmery i szepty dusz młodocianych. Miast urabiać i pielęgnować, co jest nie nauką a sztuką, sztuką bodajże najszczytniejszą i najtrudniejszą, wymagającą wielu zabiegów, idą drogą najkrótszą, łamiąc młodą duszę lub „pielęgnując" w osiedlach, kolonjach, bursach, świetlicach obrywają jej wiośniane kwiatki oczekując potem, w jesieni owoców.

Pozwólcie, młodym toczyć walkę o ideały, trzymając nie hamulec a odpowiednią zwrotnicę w ręku.

Czas wam, strudzonym pracą i wiekiem, na spoczynek, zwłaszcza że tysiące rąk młodych czeka z utęsknieniem, by was wyręczyć, by w swe młode, rozleniwione już goryczą próżnowania, ręce, chwycić kielnię i młot i budować ideał jutra, a ideał ten, — „to jasnowidzenie czegoś lepszego, czegoś co kochamy, z czego radujemy się, co nas napełnia podziwem i nieukojoną tęsknotą...“

Dr. Wawak.

To w młodych napewno jest.

Twierdzę, bom sam był: jestem młodym, i znam młodych.

„Myśmy przyszłością narodu“.

Józef Tawicz.

Poematu małżeńskiego urywek

Kiedy poczęła z twoich oczu przepływać w moje
ołowiana miłości ciężarność,
przybyło lat nieprzeżytych:
W ducha garb zajrzała starość serca lufcikiem,
drogę wskazała — i jam nią pobiegł truchcikiem—
wąziutką ścieżką szarą.

Oczy popuchły od twoich gorących spojrzeń
— Żal mi dzieciństwa, i w trawie kwiatów
i chrząszczy!
Oślepłem, ogłuchłem na zew mistyczny,
który ku pocałunkom wiódł
nocy gwiezdnych, pełnych plusku zjaw bezbożnych:
W pulsach pijany śmiał się Twardowski,
na czubach sosen, wiatr, świszcząc
darł zachodu czerwony cyrograf co wiosnę.

Nieraz myślę — :
Czemu swoje życie zapisałem tobie, nie djabłu!
i sił mi brak gwiazdom się odkrzyczeć! —

Szelestem jedwabnym mądrej ciszy zadajesz
policzek
i męczysz pokusą najczarniejszą z czarnych,
kiedy zazdrośnie ku biodrom garniesz moje ręce
wiążąc na swej talii
— Rozkoszy powszedniego chleba daj panie! —
tak się modlisz, nie wiedząc, że się prozą dławię.
Co dnia, z każdym majem
lękam się rąk twych, że ci będzie za mało
ziemskich dreszczów.
Jesteśmy małżokami — więc myślę,
jak cię zdradzić z nocą za oknami.
A Twardowski jedzie na księżycu, siedzi okrakiem;
bzy pachną w cudzym ogrodzie,
po krzakach gonią się ptaki: —

Aksamitną jednostajność słowik rozcina
i kosi śpiewem —
kto tylko ma serce
na nerwy kolorowe strzępy nawija
wielkiej pieśni niczyjej!

Zakochane pary, bzy, zapachem, niewolą do
całunków —
Idą złodzieje szczęścia wzdłuż parkanów,
idą—a oczy błyszczą jak po trunku.

Nam się zdaje, że my tylko moralni:
żona i mąż sakramentami. —
Za oknem pełno oczekiwań i niespodzianek...

— — — — — — — — — — — —

Uciekł Twardowski djabłu i księżyc zamienił
w kobyłę;
przypatruje się niebu, jedzie, jedzie i przestrzeń
popija.
Boki ostrogami bodzie złotej kasztance —
rży, po mlecznej galopując trawie, szlachtna
kobyła —
a Twardowski bodzie jak lancą
i noc, jak całun rozrzyna.

Nie stanę przy oknie,
bo w ramionach żony uwięziony moknę.

Planetarny harem śpi. — Twardowski wyjeżdża
na wyprawę!
Będzie sułtanów zabijać
póki Heljos świtem, nie zwali go z księżyca
miedzianym dzirytem.

Anna Skarbek-Sokołowska.

PROBLEM PIĘKNA.

Kapryśne to i nieuchwytne, jak poryw młodości, albo jak miłość... Jak zresztą wszystko, co przenika do najgłębszych warstw duszy ludzkiej, aby je targnąć rozkoszą.

Nauka nowoczesna wciąga zagadnienie piękna, jak wiele innych problemów, w krąg filozoficznego relatywizmu. Według Kanta ujmujemy w pięknie i doznajemy nie świata zewnętrznego, lecz stanu własnej duszy.

Ten stan zależny jest oczywiście od nastroju indywidualnego człowieka, od stopnia jego kultury, od prądu dominującego w danej epoce, od wywieranej sugestii, wreszcie od właściwości rasy.

To, co jest piękne dla murzyna afrykańskiego — np. kolec zawieszony w nozdrzach — dla nas jest rzeczą szpetną; to, co podziwiali średniowieczni — np. krwawy obrzęd biczowników — w nas budzi obrzydzenie i wstręt; to co wprawia w ekstazę Hiszpana — np. walka byków — nam wydaje się rzeczą bestjalską.

Czy to upoważnia nas jednak do ustalenia pewnych zasadniczych różnic rasowych lub epokowych w ujmowaniu piękna?

Przeżyliśmy niedawno okres, w którym murzyn ze swoim dzikim jazz-bandem królował w najwspanialszych salach kawiarnianych. W tym samym okresie świat czytelników zachwycał się powieścią autora [1]), który pod hasłem „palę Paryż“ odmalował nam obraz szalejęcej dżumy tak potężnie i realistycznie, że wobec tego obrazu średniowieczny obrzęd biczowników jest tylko dziecinną zabawą. Wreszcie w jednym z pamiętników naszych żołnierzy z okresu wojny bolszewickiej spotykamy opis starcia konnicy polskiej z konnicą Baszkirską, a przy tym opisie słowa: „Obraz ten warto było oglądać za cenę własnego życia [2])“. Czemże jest walka byków wobec dzikości i zaciekłości takiego starcia z pół tatarską jazdą Baszkirską?

Wywołując w pamięci długi szereg najpotężniejszych obrazów, które nam daje wszechświatowa literatura, rzeźba, malarstwo — stajemy wobec dylematu: Albo wszystko w odpowiedniem ujęciu jest piękne — albo nic nie jest bezwzględnie piękne, ani szpetne.

[1]) Bruno Jasieński.
[2]) Aleksander Salwik „W zwycięskim pochodzie“.

Zagadka nierozwiązana.

Nie kusząc się oczywiście o rozwiązanie tego problemu w ramach niniejszego artykułu, zastanowimy się tylko, co jest przyczyną tej oszałamiającej zmienności, której ulega pojęcie piękna.

„Nikt nie ma odwagi być samym sobą“— woła Jean Jaques Rousseau, który najmocniej zrewolucjonował świat wulkanem poezji. To samo powtarza każdy poeta lub artysta, który buntuje się przeciw narzucanym mu prawom i systemom. Ale szukanie samego siebie jest w sztuce pięknej przedewszystkiem dążeniem do nowości. Poeta, czy artysta, który chce być samym sobą, świadomie lub podświadomie pragnie dać społeczeństwu rzeczy niepowszednie, rzeczy nowe.

Potrącamy tu o najgłębszą tajemnicę naturalnego rozwoju. Rozwój dokonywa się jedynie przy ustawicznym odnawianiu tworzywa pracy, zarówno w dziedzinie materjalnej jak psychicznej.

To samo prawo, które wskazuje osobnikom wyższego gatunku jak największą różnorodność w dobieraniu pokarmów, to samo prawo, które nam każe szukać w przedmiotach naszej miłości cech nowych — cech, których sami nie posiadamy — i które zabrania rodzeństwu łączyć się w akcie miłosnym pod grozą degeneracji pokoleń — to samo prawo przez poetów i artystów do ustawicznej walki o rzeczy nowe.

Piękno to pogoń za nowością.

Największym wrogiem piękna jest jednostajność. Z tym wrogiem toczą poeci i artyści walki niemniej zaciekłe, śmiertelne i karkołomne, jak te, które wiodą żołnierze na terenach walk o siłę państwową i niepodległość.

— Wszystko, byle nie to samo! — wołają ci, którzy intuicyjnie odczuwają na czym opiera się rozwój piękna.

Jeżeli dany okres podniósł poezję i sztukę na wysoki poziom harmonii — uderzają w szpetotę i zgrzyt — jeżeli uwielbił ideały etyczne — uderzają w demonizm i zbrodnię. Tłum woła: — Złe czasy! literatura i sztuka dziczeją! — Albo wzrusza lekceważąco ramionami: — Wariaci! — A oni tylko pozostają wierni niewzruszonemu prawu rozwoju i pa-

dają ofiarą swych poprzedników, którym przypadł w udziale „le beau rôle“ zdobywania rzeczy równocześnie nowych i harmonijnych.

Cofanie się w dziedzinie sztuki o ile budzi reakcję tłumu — jest najczęściej tylko pozorne. W gruncie rzeczy sztuka cofa się tylko wtedy, kiedy stoi w miejscu.

Bojownicy piękna w tej grze zapamiętałej przypominają szermierzy, którzy odskakują w tył, aby z tem większą siłą uderzyć na przeciwnika, rzucających oszczepem, którzy odbiegają od celu, aby w nowym rzucie nabrać pełniejszego rozmachu.

Bo celem piękna jest zawsze i jedynie postęp człowieka. Jeżeli tego niema — niema rozkoszy.

Zanim obiawi się ideał — mówi Maeterlinck — zbawienną jest rzeczą żywić w duszy ten ideał wytworzony przez wyobraźnię, piękniejszy od rzeczywistości.

W tych słowach odkrywa nam Maeterlinck tajemnicę rozkoszy i szczęścia.

Rozkosz — owa rozkosz, która przekracza ramy człowieczego rozumu i którą dlatego nazywamy nadziemską — to mocniejsze nasilenie naszego biegu na drodze postępu, nowy etap w rozwoju boskich pierwiastków duszy.

Poezja jest poezją tylko wtedy, jeżeli wyprzedza życie — tak samo muzyka, rzeźba, malarstwo.

Poezja klasyczna stworzyła cudne mity Prometeuszów, Ikarów i Herkulesów, które wyprzedziły o tysiące lat krzyż Chrystusowy, samolot i nowoczesną technikę.

W przeczuciu tych wielkich zdobyczy przyszłości tkwiła tajemnica rozkoszy, jaką mitologja klasyczna karmiła pierwszych wielbicieli poezji.

Nowość i postęp to dwie najpotężniejsze kolumny gmachu, który nazywamy Pięknem.

Wacław Rousseau.

KSIĘŻE!

Biskupowi Bandurskiemu

Księże!
Pamiętasz linje biegnące wśród śniegów
I w niebo płynący głos sygnaturki?
Wigilia w okopach — w górach,
I Tyś, stojący na ołtarzu brzegu
I żołnierzy śpiewających chóry
Niepomnych na wojnę, nędze i bóle.
I Tyś do nich mówiący:
— „Ducha nie gaście!“
Bo trza ofiary, ofiary krwi, co z ducha poczęta!
Księże, pamiętasz blaski w żołnierskich oczętach,
I łzy płynące po trudem zrytych twarzach,
Pamiętasz, jak zwątpienia zwalczyłeś zarazę
Księże!..

— — — — — — — — — — — —

„Ducha nie gaście!“
Twój głos szedł przez ziemię
Kiedy Komendant... nie mówię, to boli!
Dźwigałeś w sobie narodowe brzemia
I honor i duszę zatartą niewolą.
„Ducha nie gaście!“
Bo duch to potęga,
To ogień i krew i życia zadatek,
I wiew wolności poczętej na mękach
I lud zbudzony po chatach.

— — — — — — — — — — — —

Wiedeń... miasto tryumfów i bólu.
Tam głos Twój:
„Bądźcie szczęśliwi wy bohaterzy Nowej Polski“.
Tyś był wszędzie: duch Ducha — Króla,
A kiedy wolna była ta nasza,
Twoja, moja i wymarzona,
Ciebie Biskupie — inni wyklęli
Bo byłeś życiem, nie mówiłeś o skonach,
A zrodzoną z krwi i znoju Ojczyznę wiodłeś do Boga.
Pracy Twej towarzyszyły drwiny i uśmiechy
Boś widział cierpienia miast obroku.
Wilno: przystań, wypoczynek — praca,
Bóg, miłosierdzie i słowa — czyny Cię znaczą.
Księże!..
Pamiętasz kiedy na Zamkowej
Wśród zawiei zimowej:
— Ojcze bosym! — dzieci, matka, żona!—
Odszedł lecz ci serce sprzedał
Za wspomogę i z nóg Twych buty nowe.

. . . .

Księże!..
Pamiętam, kiedy Pan Cię powołał,
Płacz ludu prostego z nad Wilji;
Lud płakał — boś go umiłował —
I żołnierz w oczach łez nie skrywał.
Księże, pamiętaj:
Duch nie zgasł!

Stefania Szadkowska

ZA KULISAMI TOTALIZATORA

Przed niedawnym czasem dowiedziałam się, że w niezamożnej dzielnicy Częstochowy, już na peryferjach jej, bo na Ostatnim Groszu, zamieszkuje tajemnicza wróżka, która niezwykle trafnie odgaduje przyszłość, a w sposób zdumiewający uchylić umie rąbek czyjejś przeszłości. Wróżka ta, jak mi powiedziano w wielkiej tajemnicy, jest osobą wybitnie inteligentną zdradza pięknemi manierami pochodzenie ze sfer arystokratycznych, a nawet nosi podobno jedno z wybitnych nazwisk dawnej Rosji... Zaciekawiona, udałam się pod wskazany mi adres i w jednym z tych małych, parterowych domków, których jest tak wiele na Ostatnim Groszu, odnalazłam... Księżnę Szeb., kryjącą się w malutkiem mieszkanku, gdzie jedynie cudownie zachowane, stare sztychy oraz nieprzeciętnej wartości drobiazgi — zdradzały tajemnicę wielkiej ongi pani. Wysoka, okazałej postawy, dama, bo trudno ją było nazwać inaczej — o rysach godnych, mimo sędziwego jej wieku, dłuta rzeźbiarza, iście pańskim gestem zaprosiła mię do wnętrza. Jej piękne, rasowe ręce ujęły już talię pożółkłych mocno kart, gdy zatrzymałam drżącą dłoń delikatnym uściskiem, prosząc, by wpierw udzieliła mi kilku chwil rozmowy.

Kilkoma zręcznymi zdaniami skierowałam rozmowę na jej przeszłość, której zawikłane zapewne koleje, zmusiły ją do zamieszkania w Polsce, gdy akcent jej zdradza wyraźnie Rosjankę. Ciepłymi słowy odmalowałam jej moje przeżycia w Rosji za czasów carskich, a później okropną Czerezwyczajkę bolszewicką, skąd wydobyłam się z uczuciem żyjącego trupa. Słowa moje nie pozostały bez echa... Częstochowska kabalarka pociągnęła mię za sobą na wytartą kanapę, na małym stoliczku pojawił się za chwilę „czaj“ w samowarze, a na kryształowych spodeczkach konfitury, specyficzne tło wszystkich rosyjskich intimnych zwierzeń...

Księżna rosyjska pokutuje za grzechy...

„kara to boska na mnie przyszła, miłoczka — zaczęła cichym, matowym głosem Księżna Szeb., prosząc, aby nazwisko jej pozostało tajemnicą moją jedynie — byłam ongi wielką damą, mogłam była zdziałać wiele dobrego, ale ja myślałam jedynie o powiększeniu mego i tak olbrzymiego majątku i oto za lat wczesnej młodości pozwoliłam się wciągnąć za kulisy jednej z tych wielkich namiętności ludzkich, które rujnują nędzarzy i bogaczy, miażdżą w proch szczęście wielu rodzin, rozsypują na wiatr fortuny, mnożąc liczbę defraudantów i złodziei... Szaleje ten nieszczęsny tłum ludzki w oparach wyższej od ich siły moralnej namiętności, a ponad tym okropnym, a jakże naiwnym tłumem rozpościera swą magiczną dłoń olbrzymi pająk ludzki, złożony z tych, którzy na głupocie człowieczej żerują lub nią się bawią. Dzisiaj, zdaje mi się często, gdy noc zapadnie, a ja sama leżę w ciemnościach, iż słyszę jęki zawodzące, widzę wyciągnięte z przekleństwem ręce, otacza mię falanga cieniów złowieszczych, a każdy z nich woła „biada ci! biada!“ Ale do rzeczy — to, o czem mówię — to był totalizator. Panią, jako zamiłowaną dziennikarkę przede wszystkiem obchodzi ukryta strona każdej sprawy, ta sensacyjna sprężyna, która wprawia w sposób tajemniczy w ruch skomplikowane kółka jakiegoś mechanizmu, o czym nikt niewtajemniczony nie wie i wiedzieć nie może... Odkrycie kart w grze życiowej to zawsze wielkie zwycięstwo dla was, dziennikarzy, a choć moja historja należy do przeszłości, tem niemniej do dziś jest ona aktualną. Dlatego to opowiadanie moje ograniczę do tej części przeżyć, których sceną były

Kulisy pola wyścigowego.

Jako wielko-światowa dama patrzyłam specyficznymi oczyma na ten proceder, jakim jest totalizator. Hazard. odgrywający rolę haszyszu w ówczesnym rosyjskiem społeczeństwie, porwał mię całkowicie, nie wzbudzając ani na chwilę wątpliwości co do jego strony etycznej. To, co czyniłam ja, czynili wszyscy moi znajomi ludzie, pochodzący z wysokiej arystokracji, w której żyłach płynęła t. zw. „błękitna krew“, ludzie, uważający się za bezsprzecznych dżentelmenów i zmywający najmniejszą, a nieraz urojoną plamę na honorze, własną krwią. A jednak...

Pamiętam, jak dziś stylowy gabinet mego męża z carskim portretem na środkowej ścianie, zawieszony wieńcami i medalami — pamiątki z wyścigów konnych, masywne fotele obite skórą i rude włosy naszego zaufanego dżokeja, Koli, który kocim ruchem wsuwał się do pokoju, meldowany przez wiernego ordynansa

męża, Wańkę. Nie zapomnę nigdy jego przyciszonego głosu zawodowego konspiratora, jego małych, błyszczących oczek, w których się czaiła chciwość i szulerstwo. Z obleśnym uśmieszkiem spoglądał na mego męża, gdy wydawał mu rozkazy, określał umówione znaki, którymi ja miałam sygnalizować mu, czy ma wygrać, czy przegrać. Kola słuchał, przybierając służalczą, uniżoną pozę, ale jednocześnie z głębi tych małych oczek, z fałd ledwie dostrzegalnego uśmieszku, wyzierała świadomość tej zależności państwa od sługi, zależności, w jaką popadałam własnowolnie coraz bardziej.

O! Bo trzeba było znać wszystkie zakulisowe sprawy petersburgskich wyścigów, aby zrozumieć całą ohydę, dokonywanych tu, malwersacji. Trzeba było wiedzieć, jakimi to drogami mnożyło się za pośrednictwem totalizatora magnackie fortuny rosyjskie.

Pamiętam, gdy zajeżdżałam wspaniałem „bandem", zaprzężonym w dwa rwące z kopyta, ogniste „rysaki" przed pole wyścigowe: trybuny roiły się od głów ludzkich, powietrze szumiało rozdygotanymi ze zdenerwowania głosami, a ja... śmiałam się w duchu, patrząc na ten głupi tłum, który był w ręku moim i mnie podobnych jak pionki na szachownicy gry w totka. Im się zdawało, że mogą wygrać, ja wiedziałam zgóry, kiedy przegrają, nie licząc śmiesznie małych wygranych wobec zawrotnych sum, jakie my kładliśmy w okienko totalizatora bez najmniejszego ryzyka, wiedząc zgóry, że odbierzemy je zwiększone w dziesięćkroć.

D. c. n.

Zygmunt Józefowicz.

O dzieciach świata

Wiedzcie, że jak są matek dzieci,
Tak są też i dzieci świata.
Temi jeśli świat pomiata,
Nie przygarnie ich do łona —
Łza im często w oczach świeci,
A niejedno, skwiercząc, skona.

Z cyklu „Refleksje o miłości"

Stefania Szadkowska.

MIŁOŚĆ

Widziałam dzisiaj tęczowe motyle,
które na szpilkach miały skrzydła złote
i zapomniane w starym legły pyle,
śniąc wiosny czary i słońca tęsknotę.

Widziałam dzisiaj kwiaty, wprzód kwitnące.
co tchnęły ongi namiętności wonią,
gdy promieniami pieściło je słońce —
dzisiaj ku ziemi zwiędłe głowy kłonią.

O! wierzaj! Miłość to skrzydła motyla,
który na szpilki cichej męki wzięty,
tortur przeżywa straszliwe momenty...

O! wierzaj! Miłość żłobi w sercu rany,
iż kona zwolna, jako ptak zdeptany
za to, że błyśnie mu—słoneczna chwila.

J. Tawicz.

Pierwszy śnieg niedaleko

Tego dnia było tak jak zapomnianej jesieni;
policzków krew, babie lato przecięło w jedwabi-
[stym biegu
i przez sekundę, świat mieszkaniem zapajęczonym
[się wydał —
Przelękłe oczy, a może ucieszone,
po gwiazd złocistym śniegu stąpały, jeszcze latem
[ciepłe;
w głębokim oddechu ust miąższowy czerpak
ostatnie garnął księżyca krwiste promienie.
Sprostowałem myśli rzutem pionu w niebo:
głośno piersi kilof życia rozbijał węgiel —
wszystko się we mnie paliło Bogu na chwałę.
W szarej zawiei złoto sypałem na skrzydła
i niebo zrównało się z ziemią.
Jak batem na szyi, naznaczył ten wieczór moje
[serce pręgą—:
Każdej jesieni Bóg mi oznajmia,
że trzeba cierpieć przed przywitaniem pierwszego
[śniegu.

Zdzisław Lucjan Kałędkiewicz.

STARZEC Z GÓR

Autorowi „Zielonej śmierci"
i cyklu „Starzec z Gór".

W łachmanach zdartych w strzępy
z głową zarosłą i kudłatą
wędruje starzec święty —
nowy apostoł świata.

Miłośnik zórz porannych,
pachnących zmierzchów entuzjasta
w wędrowce nieustannej
omija ludzi zamurowanych w miastach.

Dziwią go blade twarze
w głębokie zryte bruzdy —
ślady buntów i marzeń
kiełznanych życia uzdą,

Najpełniej oddycha w kniei,
zdala od ludzkich siedzib
towarzysz rączych jeleni — — —
— rodzony brat niedźwiedzi — — —

— W gąszczu pachnącej zieleni
w ostatnią swoją wiosnę
w święty się dąb zamienisz! —
— panował będziesz sosnom — — —

Lub cudem miłowanych Gorgan
nad czarne wzlecisz bory
niebosiężnym orłem —
Synem Czarnohory! — — —

Zygmunt Józefowicz.

Turysta

Świat myślę zwiedzić dopiero po śmierci,
Bo, żyjąc, na to środków mi nie staje.
Wówczas nie smaląc piórka ani szerści,
Mknąc, jak myśl hyża, różne zwiedzę kraje.

Wtedy was zdepczę, gór podniebnych szczyty,
Morza, pustynie, lasy zwrotnikowe,
I zawsze rześki, pyłem nie okryty,
Zawitam do was o, miasta perłowe!

Nie płacąc grosza za bilet wejściowy,
Zwiedzę Luksemburg i Luwru galerje,
Drezno, Rzym, Londyn — świat stary i nowy,
Szydząc z odźwiernych, co noszą liberje.

Zdzisław Lucjan Kałędkiewicz.

Miłość romantyczna

Rozpustny księżyc, pijany pychą,
tocząc się w przestwór, gwiazdy roztrąca —
— na śpiące w łóżkach dziewczęta czyha
sen zdrowy i spokój im mącąc — —

Nocą pod same okna podchodzi
pełen namiętnych pragnień —
nocny rozpustnik — romantyczny złodziej
— Niewinność podstępnie im kradnie — —

— — Dziewczętom codzień bledniej twarze —
w dzień smutniejsze ukrywają oczy —
coraz to dłużej wieczorami marzą
nikomu nie mówią — o czem — —

A gdy w nieznaną wyruszy podróż —
tłumią swą cichą tęsknotę — —
z blademi usty do nieba się modlą —
— ach! wróć nam go! — wróć spowrotem — —

Zofia Wacławska.

RÓŻA

Dzisiaj rano dałeś mi róże białą,
Zapach jej jeszcze dotąd mnie odurza,
A rano przecież, jakby mi się zdało,
Że cała się we łzach przeczystych nurza,
Tak była okrytą kroplami rosy —

Brylantowe łzy drżały na jej płatkach. —
I pytałam cicho, skądże rosa ta,
Czy spłynęła z Twych oczu przy świadkach
Kwietnych, a wonnych,— a może owa łza
Nie była Twoją, może ją niebiosy

Zesłały na wonne płateczki róży? —
Powiedz mi czy róża może zapłakać,
Gdy zgubi listki w nocnej burzy?
Zraniona może krwią—rosą ociekać,
I bólem złamana, czy może poledz?

A może — gdyś ją pieścił w rękach swych,
I szeptałeś słowa dla mnie przeznaczone,
Róża zapłakała i we łzach tych
Przesłała Twe słowa smutkiem natchnione. —
Czy róża sama może płakać? Powiedz!

PLASTYKA i TEATR

Już po złożeniu numeru doszła nas wieść, że dnia 1-go września zmarł w wieku 77 lat artysta dramatyczny, członek rzeczywisty Z. A. S. P. i długoletni reżyser Edmund Feliks Stokowski, pozostawiając w żałobie cały świat artystyczny Polski, a wszczególności Częstochowy, w której spędził ostatnie lata swej pracy.

Cześć Jego pamięci!

Niżej reprodukujemy jedną z prac pastelowych naszego artysty malarza Jana Studenckiego. Jest to już reprodukcja pracy czwartego naszego plastyka. W miarę wydawania dalszych numerów ukażą się reprodukcje innych prac tak wzakresie malarstwa jak i rzeźby. W najbliższym numerze otwieramy dział fotografii artystycznej.



„Portret dzieci" J. Studencki

PO ZAKOŃCZENIU SEZONU TEATRALNEGO

Obok reprodukujemy scenę zbiorową z „Kordjana". Wielkie to dzieło Słowackiego cieszyło się bardzo wielkim powodzeniem osiągając cyfrę około 5000 widzów, z których większość, co podkreślić należy, rekrutowała się ze sfer robotniczych

Stoimy u progu nowego sezonu. W całej Polsce, wszystkie teatry mają już zespoły skompletowane, już wkrótce rozpoczynają pierwsze występy. U nas sprawa przedstawia się fatalnie. Dyrektor nie mając jeszcze kontraktu, angażować artystów nie może, a na rynku coraz mniej dobrych sił artystycznych. Wielki już czas rozstrzygnąć sprawę teatru. Trudno tłumaczyć opóźnienie otwarcia sezonu komisją:



Scena zbiorowa „Kordjana" z Dobrowolskim na czele.

Częstochowa musi mieć dobry teatr i to jak najprędzej!

Tego od Zarządu miasta oczekuje całe kulturalne społeczeństwo naszego miasta.

KRONIKA

ARTYSTYCZNA i KULTURALNA

Na olimpiadzie w Berlinie w dziale literackim Polska zdobyła brązowy medal za utwór Parandowskiego p. t. „Dysk Olimpijski“, która to książka ukazała się na miejscowych półkach księgarskich.

W dziale plastyki został odznaczony rzeźbiarz Kulikowski, zdobywając srebrny medal za rzeźbę przedstawiającą piłkarza, a z grafików Chrostowski otrzymał brązowy medal za dyplom dla gen. Rydz-Śmigłego. Jest to wielki sukces Polski, która w pochodzie kulturalnym jest na miejscu czołowym.

*

Stach z Warty — Szukalski jest ze swą wystawą w Katowicach, gdzie znalazł poparcie p. woj. Grażyńskiego i szerokich rzesz kulturalnych Ślązaków.

*

Teatr Kameralny wystawił świetną komedję amerykańską Hoopwoda p. t. „Jutro pogoda“. W sztuce tej wspaniały sukces odniósł swą nadzwyczajną grą artysta Teatru Malickiej, Biesiadecki, mając w H. Wańskiej, Biesiadeckiej i Kwiatkowskim doskonałych sekundantów.

Gościła u nas też operetka poznańska wystawiając „Rose Mari“ z czarującą pięknem swego głosu Musielewską na czele.

Goszcząca Warszawska Szopka polityczna swym przedstawieniem „Pan Starosta ma wychodne“ zdobyła publiczność częstochowską.

*

W dniu 15 sierpnia Literaci, plastycy, artyści dramatyczni i muzycy „Drugiego Toru“ urządzili „Czarną kawę, dancing-bridge“, która to impreza pozostawiła miłe wrażenie. Doskonale wypadły: śpiew p. H. Wańskiej, deklamacje p. red. Szadkowskiej oraz śpiew p. Kocybulskiego, akompanjowała p. Brzezińska. Wykonawcom publiczność nie szczędziła braw i kwiatów.

*

W Muzeum Wojska w Warszawie została otwarta wystawa rzeźb, przedstawiających Głowę Marszałka. Wystawie wzięli udział znani artyści. J. Below, K. Laszczka, St. Rzecki, A. Karny, J. Proszowski i F. Strynkiewicz. (w).

*

Dyr. Kazimierz Brodzikowski, w uznaniu zasług położonych nad podniesieniem kultury teatralnej w Częstochowie, uzyskał w Kielcach koncesję na prowadzenie objazdowego Teatru Ziemi Kieleckiej. Jak się dowiadujemy podobne koncesje udzieliły mu województwa: krakowskie i łódzkie.

Odpowiedzi Redakcji

— Autorowi wierszy przysłanych z Brudzic.

Załączonych utworów wybraliśmy jeden do druku. Dziękujemy i prosimy nadal o nas pamiętać. A pisać śmiało i wypowiadać się szczerze. Dla poezji wszystko jest dobre, co płynie wprost z duszy człowieka. Pożądane jest wplatania wyrazów z gwary ludowej. To wzbogaca język.

— Autorowi wierszy przysłanych z Rakowa.

Wiersz o domku drewniauym jest niedociągnięty. Drukujemy wiersz drugi, który jest oryginalny w pomyśle i wykonaniu. Idąc w tym kierunku — a nie powtarzając się — dojdziecie kochany kolego do swoistego, indywidualnego tonu poezji. (AS)

Od Redakcji

Nadesłane ostatnio utwory młodego włościanina z pod Radomska nasunęły redakcji myśl otwarcia na łamach „Drugiego Toru“ specjalnego działu dla poezji włościańskiej. Przewidywany rozwój tego działu pozwoli nam uniknąć głęboko w dusze naszych młodych marzycieli z chat i zagonów.

Na pierwszy rozwój ogień rzucamy pieśń, której autorem jest Stanisław Nagadus z gminy Brudzice (pod Radomskiem).

Bije z nich owa nieutulona tęsknota, która jest swoistą cechą duszy słowiańskiej. Młody śpiewak miłuje przyrodę i odczuwa głęboko jej uroki. Pomimo to widzi „ją ponurą“, bo jest „zawsze ta sama, a nigdy inna“. Beznadziejna brama jednostajności zamyka opisywaną dolinę, w której śpiewają dziewczęta, szumią olchy i rechocą po stawach żaby.

Marząc o ziemi rodzinnej poeta—włościanin widzi ją w świetle minionych wieków— okrytą puszczami leśnymi, potem niszczoną szałem wojen.

Przejmująca jest wizja owych krwawych rzek płynących po „starej, kochanej ziemi“. (AS)

Stanisław Nagadus.

W majowe dni

Majowe dni — to życia kwiat!
Piękniejе w nich nasz cały świat.
Stroi się wszystko w zieleń i kwiaty —
Lasy i łąki — nawet nasze chaty.
W polu nam rosną wysokie zboża,
A gdy wieczorna zapadnie zorza,
U stóp kapliczek, krzyży przydrożnych
Słychać śpiewanie dziewcząt pobożnych.
Pięknie na drogach i pięknie w siołach,
Ale najpiękniej w naszych kościołach,
Przez okna świeci słońce różowe,
W ołtarzu płoną świece woskowe.
Majowe dni — to życia kwiat!
Piękniejе w nich nasz cały świat.

DRUK. BR. SWIĘCKIEGO W CZĘSTOCHOWIE, III ALEJA № 63.

DRUKARNIA
INTROLIGATORNIA
BR. SWIĘCKI
CZĘSTOCHOWA